

19



Temat tygodnia

- 11 Łukasz Wójcik
Brexit: klęska demokracji
- 14 Norman Davies
o przyczynach i skutkach wyjścia Zjednoczonego Królestwa z UE
- 16 Janusz Lewandowski o tym, kto ponosi winę za rozwód Brytyjczyków z Europejczykami
- 18 Radosław Sikorski o tym, co Polska musi zrobić, aby nie wylądować na peryferiach

Czekanie na wojnę

30



Pedofile do ujawnienia

Polityka

- 19 Adam Szostkiewicz
Kuszące widmo wojny
- 22 Adam Grzeszak **Państwo strachu i szantażu**

Społeczeństwo

- 26 Elżbieta Turlej **Trudne powroty emigrantów**
- 30 Agata Szczerbiak
Tak minister Ziobro chce walczyć z pedofilami
- 32 Joanna Cieśla
Kolejne protesty pielęgniarzek?
- 35 Edyta Gietka
Jak radny PiS odnalazł siebie w wierszu
- 38 Ewa Kaleta
Kobieta, która próbuje wygrać z klubem żużlowym

Rynek

- 40 Joanna Solska
Alkohol 24 h
- 43 Ryszarda Socha
Kto i dlaczego chciałby przekopać Mierzeję

Świat

- 46 Łukasz Wójcik IRAK
Polskie wojsko wraca na misję
- 49 Paweł Kowal UKRAJINA–POLSKA
Kierunek: przeszłość
- 52 Tomasz Maćkowiak CZECHY
Czesi wyjdą z Grupy Wyszehradzkiej?

76



Rapowana historia Ameryki

100



Jubileusz Mariana Turskiego

Historia

- 54 Michał Siedziako
Referendum 3xtak
- 58 Bożena Szaynok **Spory wokół pogromu kieleckiego**

Nauka

- 62 Andrzej Hołdys
Mobilny Homo sapiens
- 68 Paweł Walewski
To może być udar
- 71 TECHNOECHO

Kultura

- 76 Aneta Kyzioł
„Hamilton” – przeszłość w rytmie hip-hopu
- 79 KAWIARNIA LITERACKA
Wit Szostak
- 80 Rozmowa z **Jackiem Mroczkowskim** oraz **Maciejem Miłobędzkim** z JEMS Architekci, zwycięzcą Nagrody Architektonicznej POLITYKI
- 82 Bartek Chaciński
Duchologia stosowana
- 84 Choreograf **Jacek Przybyłowicz** o promocji Polski przez taniec
- 87 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

- 88 Urszula Schwarzenberg-Czerna
Jak zabłądzić z GPS
- 92 Marcin Piątek
Piłkarskie Euro-taktyki

Na własne oczy/ Wydarzenie

- 100 Sławomir Mizerski
Dziewięćdziesiątka Mariana

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia • 72 Afisz
- 94 Passent • 96 Stomma • 97 Tym
- 98 Do i od redakcji • 99 Fusy
- 106 Polityka i obyczaj



GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŃKOWSKA 140

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Czy seks ma przyszłość

W zeszłym tygodniu wszyscy byli przejęci Brexitem, dlatego mało kto odnotował informację, że za 20 lat ludzie nie będą potrzebowali seksu do reprodukcji. Zdaniem autora książki „The End of Sex and the Future of Human Reproduction” robienie dzieci będzie wyglądało tak, że technik pobierze komórki naszej skóry, genetyk zamieni je w komórki macierzyste, następnie w rozrodcze, a te zostaną wykorzystane do zapłodnienia in vitro i produkcji setek zarodków, z których wybierze się te o najbardziej pożądanym wyglądzie (np. takich jak atrakcyjny wygląd).

Obrońcy seksu podkreślają, że jest on nierozdzielnie związany z człowiekiem, a nasi przodkowie uprawiali go na długo przedtem, zanim zaczęli uprawiać ziemię. Nie jest zresztą tajemnicą, że do czasu wynalezienia rolnictwa ziemia służyła ludziom głównie do uprawiania seksu, a po jego wynalezieniu liczba ludzi uprawiających seks zawsze zdecydowanie przewyższała liczbę ludzi uprawiających ziemię. Mimo to informację, że dzieci można mieć bez konieczności uprawiania w tym celu seksu, wiele osób powita z ulgą. Nie jest tajemnicą, że uprawianie seksu powoduje zadyszkę, nadwyręża stawy oraz może być przyczyną wylewu i małżeńskich nie-



porozumień. Wyeliminowanie seksu spowodowałoby, że człowiek nie musiałby w kółko o nim myśleć, a po przyjściu z pracy – uprawiać go w celu przedłużenia gatunku. Mogłoby się skupić na karierze, oglądaniu telewizji, aktywności w mediach społecznościowych albo wzięciu udziału w jakimś marszu.

Seks w celach reprodukcyjnych rozwijałby się tylko w krajach słabiej rozwiniętych. Nie można wykluczyć, że i w społeczeństwach zachodnich niektóre osoby nadal płodziłyby dzieci w tradycyjny sposób, używając do tego siły mięśni, ale zasadniczo seks służyłby tylko temu, żeby – o ile to możliwe – mieć z niego jakąś przyjemność. Chociaż rynek już dziś oferuje mnóstwo produktów dostarczających więcej przyjemności niż seks. Pesymiści obawiają się, że UE, która dziś przestała wspierać energetykę węglową, za 20 lat może przestać wspierać robienie dzieci za pomocą seksu. Kto wie, czy zajmujący się od wieków uprawianiem seksu w celu reprodukcji polscy rolnicy nie zostaną pozbawieni dotacji i dopłat. I czy przypadkiem nie będą zmuszeni do wprowadzenia w tych sprawach mechanizacji lub technicznych nowinek. Nie zdziwię się, jeśli PiS za 20 lat dojdzie do władzy pod hasłem, że w sprawie seksu Polska i Polacy muszą wstać z kolan. I słusznie, bo uważam, że jeśli chodzi o seks, pozycja na kolanach jest dla prawdziwego Polaka trochę upokarzająca.



Włoska moda w drodze do Mediolanu

Nowy Terminal - nowe marki

Odkryj nasze nowe sklepy



LOTNISKO
CHOPINA
WARSZAWA

Koniec świata i co dalej



Jerzy Baczyński

Z polskich reakcji na Brexit najważniejsze jest oczywiście stanowisko Jarosława Kaczyńskiego, bo to on, jednoosobowo, określa dziś politykę państwa. I prezes natychmiast zabrał głos, choć mógł skorzystać z okazji, żeby choć chwilę pomilczeć nad urną z popiołami własnych politycznych urożeń. Dumne koncepcje Międzymorza jako sojuszu Europy Wschodniej – pod polskim przewodnictwem – przeciwko Niemcom; wybór Wielkiej Brytanii na głównego strategicznego partnera; konflikty z Komisją Europejską; marginalizacja w coraz bardziej marginalnej, po odejściu Brytyjczyków, frakcji w Parlamencie Europejskim; obrażanie (i obrażanie się na) najważniejszych polityków amerykańskich; podsycanie wołyńskich napięć w stosunkach z Ukrainą. Właściwie klęska lub zapowiedź klęski na wszystkich frontach polityki zagranicznej. Symbolicznie przypieczętowana faktycznym pomijaniem rządu polskiego w najważniejszych pobrexitowych konsultacjach.

Dla Jarosława Kaczyńskiego polityka zagraniczna, której nigdy nie lubił, nie umiał, nie považał, była i jest częścią polityki wewnętrznej. Także – jak dla Camerona – narzędziem pacyfikowania politycznej konkurencji oraz podręcznym zestawem propagandowym (te zaklęcia o godności, suwerenności, wstawaniu z kolan, wyprowadzanie unijnych flag, prężenie czterech myśliwców F-16 itd.). Reakcja prezesa po Brexicie, niestety, nie ujawnia jakiegokolwiek nowej refleksji.

W wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”, po standardowej deklaracji, że „stało się źle”, jest już tylko – jak w całym obozie piłowskim – z trudem skrywana satysfakcja. Bo winy za Brexit w żadnym stopniu nie ponoszą brytyjscy populiści, od lat uprawiający kłamliwą antyunijną propagandę, lecz, zdaniem PiS, sama Unia. Prezes proponuje więc nowy traktat, który miałby osłabić wszystkie instytucje wspólnotowe, zwiększyć rolę państw narodowych i wzmocnić „mechanizm konsensualny”, w polskiej tradycji zwany liberum veto. Ta propozycja to, wypisz wymaluj, kopia „ustawy naprawczej” w sprawie Trybunału Konstytucyjnego, zmierzająca do zablokowania instytucji mogącej w jakikolwiek sposób ograniczać władzę Suwerena, czyli w praktyce Jarosława K.

Po wielomiesięcznej, zapewne przykrojonej dla prezesa, a na pewno kompromitującej na zewnątrz, europejskiej akcji w obronie praworządności w Polsce widać, że Unia kojarzy mu się głównie z „wtrącaniem w wewnętrzne sprawy”. I jeśli przestanie „czepiać się” polskiej demokracji, która „ma się znakomicie”, to może „w dalszym ciągu prowadzić” na przykład politykę rolną, politykę spójności, skąd dostajemy fundusze, a nawet zbudować armię unijną, która by nas broniła. Ta refleksja prezesa (dawać kasę i niczego nie chcieć) niestety jest wyraźnie sprzeczna z dominującym dziś wśród europejskich polityków przekonaniem, że wraz z angielskim „nie” skończyło się wyjadanie wisienek z tortu, pobieranie korzyści bez zobowiązań i odpowiedzialności za wspólne kłopoty, nieuchronnie produkowane przez procesy globalizacji, zmiany cywilizacyjne, demograficzne i społeczne. Pobrexitowe scenariusze rozciągają się dziś między całkowitym rozpadem Unii a rozpadem na segmenty o różnym stopniu integracji. Brytyjczycy postawili przed Europejczykami dramatyczne pytanie: czego chcecie? Kto z was czego chce?

W piątek 24 czerwca nastąpił koniec znanego nam świata. Właściwie wszystkie europejskie państwa muszą pilnie i na nowo zdefiniować swoje narodowe interesy i określić, jakie są teraz możliwości ich realizacji. Populizm, czyli polityka tabloidowa, bazująca na ignorancji, manipulowaniu emocjami, szczuciu na wrogów, na „elity”, „ekspertów”, „eurokratów”, „imigrantów” – może dostarczać zwycięstw wyborczych, ale w realu gwarantuje klęskę. Rzeczywistość zawsze, wcześniej czy później, wyłania się z retorycznej mgły twarda i zimna. Demokracja polega też na tym, że to lud wyborczy, jeśli popełni błędy – z emocji, niewiedzy, pretensji, naiwności, lenistwa – z tą rzeczywistością musi się zderzyć. „Kontynent” ma teraz nadzieję, że „Wyspy” zapłacą wysoką cenę za to, że dały sobie zabełtać w głowie. A i tak cena, jaką Brytania, w końcu jedno ze światowych mocarstw, zapłaci za wyjście z Unii, byłaby niewielka wobec kosztów, jakie na wypchnięciu z Unii poniósłby kraj tak jeszcze słaby i tak marnie ulokowany jak Polska.

Mamy pecha, że obecny rząd rządzi nami w takim czasie. Że zaplątany w swoje urazy i fantasmagorie nawet nie dopuści do poważnej refleksji i debaty, choćby nad wejściem (jednak) do strefy euro, relacjami z najsilniejszym dziś europejskim krajem – Niemcami, czy nowymi relacjami z Brytanią (Anglią?). W tej sytuacji głupotą jest dziś żądanie wyrażone już przez samego prezesa Kaczyńskiego, aby skompromitowany Brexitem Donald Tusk podał się do dymisji wraz z całą Komisją Europejską. Niezależnie od wszystkich pretensji wobec premiera Tuska, dziś tylko on z Polaków uczestniczy w prawdziwym układaniu nowej Europy i może (jakoś) będzie bronił geopolitycznego interesu Polski. A teraz to przede wszystkim zapobieżenie chaotycznemu rozpadowi Unii. Tusk musi pomóc Kaczyńskiemu, bo inaczej nie damy rady obronić się przed faktycznym, wymuszonym Polexitem.

Jan Koza



© JAN KOZA

Stara wojna, stare chwytły

„Misja doradcza”, „szkoleniowa”, „pokoju obecność” – politycy PiS dwoją się i troją, żeby nie powiedzieć prawdy, że znów wysyłamy żołnierzy na wojnę.

Gen. **Roman Polko** o wysłaniu żołnierzy wojsk specjalnych do Iraku ma ugruntowaną opinię. – *Pomysł jest słuszny, ale wykonanie w starym stylu – mówi. – Ze strachu przed opinią publiczną przedstawią się to tak, jakbyśmy naszych najlepszych żołnierzy wysyłali nie w strefę działań wojennych, ale na wakacje z Orbisem.* Generał Polko temat zna od podszewki, bo w 2003 r. żołnierze GROM, którymi dowodził, w podobnych okolicznościach pojechali wspierać wojska USA w Iraku. – *Dopiero jak w wyniku błędu Amerykanów w świat poszło zdjęcie naszych żołnierzy z biało-czerwona flagą, to zaczęło się pokrętnie tłumaczenie – dodaje były szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Jego zdaniem żołnierze nie zasłużyli na takie stawianie sprawy. – Ta misja to wielka niewiadoma. Sytuacja jest dynamiczna. Może się okazać, że zostaniemy wciągnięci w ten konflikt na całego. O takich sprawach opinia publiczna powinna być rzetelnie informowana – dodaje gen. Polko.*



© STANISŁAW KOWALCZYK/EAST NEWS

Jednym z żołnierzy na zdjęciu, które zrobiono w 2003 r. w Iraku, był Andrzej „Wodzu” Kruczyński, który dowodził atakiem na platformę Umm Kasr. – *To zawsze jest tak, że misja jest szkoleniowa, a później twórczo się to rozwija, tak jak to było z naszym udziałem. Nie wysłał się najlepszych żołnierzy do szkolenia – mówi „Wodzu”. Według postanowienia Prezydenta RP 60 polskich specjalistów operować będzie w Iraku, Jordanii i Kuwejcie. Już samo to wskazuje, że misja ma inny charakter. – Kuwejt został wpisany na wypadek, gdyby trzeba było ratować*

któregoś z polskich pilotów w przypadku zestrzelenia nad Irakiem. Jordania to baza wypadowa do poważniejszych misji – tłumaczy Kruczyński.

Drugi polski komponent składał się będzie ze 150 żołnierzy i czterech samolotów F-16. Ministerstwo Obrony Narodowej i Biuro Bezpieczeństwa Narodowego na każdym kroku podkreślają, że nasi piloci będą zaangażowani tylko w misje rozpoznawcze. A samoloty wyposażone w zasobniki rozpoznawcze DB 110. – *Ziemi nie widać, czy samolot ma zasobnik rozpoznawczy czy rakiety. Do każdego samolotu strzela się tak samo. Ta hipokryzja jest zupełnie niepotrzebna. Misja w terenie działań wojennych jest zawsze szkoleniowa do pierwszego rannego – mówi Waldemar Skrzypczak,*

który w Iraku dowodził IV zmianą polskiego kontyngentu. Według niego, podejmując decyzję o wysłaniu żołnierzy, należy liczyć się z eskalacją naszego zaangażowania. Tym bardziej że Brexit jest wyraźnym znakiem, że strategia destabilizacji Europy poprzez wywołanie fali uchodźców zaczyna się sprawdzać. – Rozpoczętą w 2003 r. wojnę z terroryzmem trzeba zakończyć i tego się nie zrobi czterema samolotami. Społeczeństwo źle reaguje, kiedy politycy wysyłają żołnierzy na wojnę. Ale po to się bierze odpowiedzialność za kraj, żeby podejmować trudne decyzje i uczciwie o nich informować – dodaje Skrzypczak. JULI

Do jakiego Iraku jedziemy? – s. 46.

Nie możemy pozwolić sobie na nadmierną szczerość. To nie jest życzliwy dziennikarz

Portal OKO.press występuje do sądu przeciwko Telewizji Polskiej SA i zawiadamia prokuraturę.

Sprawa dotyczy dostępu do informacji. W ostatnich tygodniach dziennikarze OKO.press zwrócili się do TVP z pytaniami dotyczącymi dwóch spraw: kosztów transmisji Światowych Dni Młodzieży oraz emisji reklamowego spotu Ministerstwa Obrony Narodowej. Pytania związane ze złotem katolickiej młodzieży władze TVP całkowicie zlekceważyły – nie odpowiedziały na nie przez dwa miesiące. W sprawie spotu MON odpowiedziały tylko częściowo. Prośba o uzupełnienie odpowiedzi – skierowana przez dziennikarza OKO.press Jakuba Stachowiaka – spotkała się z odmową. Do odpowiedzi omyłkowo załączono wewnętrzną korespondencję, w której pracownicy TVP naradzają się, czy mogą mu podać więcej informacji. W jednym z maili Joanna Stempień-Rogalińska z Centrum Prasowego TVP pisze do dyrektora Wojciecha Kowalczyka, że dziennikarz „nie przyjmuje odpowiedzi” i pyta: „Czy zdaniem Pana Dyrektora jest coś, co możemy mu dodać, czy kažemy mu poprzestać, na tym co już dostał?”. W kolejnym mailu

pisze: „Nie dodawajmy za dużo. W tym przypadku nie możemy pozwolić sobie na nadmierną szczerość. To nie jest życzliwy dziennikarz”.

Zgodnie z ustawą o dostępie do informacji publicznej instytucje i spółki państwowe – czyli także TVP SA – muszą odpowiedzieć na pytania dotyczące ich działalności w ciągu 14 dni, a jeśli tego nie zrobią – pytający ma prawo skierować sprawę do sądu administracyjnego. Za nieudzielenie informacji grozi odpowiedzialność karna – do roku pozbawienia wolności.

Portal OKO.press skierował do sądu administracyjnego obie sprawy (dotyczące pytań o ŚDM i o spot MON). Zawiadomił również prokuraturę o podejrzeniu popełnienia przestępstwa polegającego na nieudzieleniu informacji publicznej przez władze TVP (prezesa Jacka Kurskiego i wiceprezesa Macieja Staneckiego) oraz Joannę Stempień-Rogalińską.

– *Jednym z elementów „dobrej zmiany” w urzędach i spółkach państwowych stało się*

odcięcie od informacji dziennikarzy, którzy są krytyczni wobec rządu. Na odpowiedzi, w najdrobniejszych nawet sprawach, czeka się tygodniami. Często bezskutecznie – mówi Bianka Mikołajewska, szefowa zespołu śledczego OKO.press i wice-naczelnka portalu. – OKO.press chce przypomnieć urzędnikom i władzom wszystkich instytucji gospodarujących publicznymi pieniędzmi, że udzielanie informacji jest ich obowiązkiem, a nie widzimisię. Będziemy kierować sprawy do sądów, a w szczególności drastycznych przypadkach – składać zawiadomienia do prokuratury. Trudno o bardziej ewidentny przykład naruszenia prawa do informacji niż działania TVP wobec naszego portalu.

Portal OKO.press stawia sobie za cel m.in. ujawnianie patologii życia publicznego i ujawnianie afer. Korespondencję do zespołu śledczego portalu kierować można na adres: sygnalisci@oko.press.

Fundacja Ośrodek Kontroli Obywatelskiej OKO,
Nr konta: Bank Millennium
92 1160 2202 0000 0003 0434 1595
Dla wpłat z zagranicy: BIC (SWIFT) – BIGBPLPW
PL 92 1160 2202 0000 0003 0434 1595

TYDZIEŃ W POLITYCE WEDŁUG PARADOWSKIEJ



Jedynie słuszna historia

Niedługo okaże się, że KOR zakładali premier Szydło i prezydent Duda, tylko pomysł nazwy pozostanie przy Antonim Macierewiczu.

Europa się trzęsie, bo jednak gdy znikają Brytyjczycy, a pojawiają się Anglicy, Szkoci, Irlandczycy, Walijczycy, tworzy się inna rzeczywistość. Zapowiada to dalsze wstrząsy o skutkach trudnych do przewidzenia, wobec których zawał na giełdach, spadek wielu walut, w tym bardzo spektakularny złotówki, jest niczym. A przecież pojawił się nawet gorączkowy postulat, by jako odrębna społeczność (narodowość?) wyodrębnił się londyńczyk, którzy wychodząc z szoku po referendum, zbierają podpisy, że chcą do zjednoczonej Europy i brukselska niewola im niestraszna.

Co myśmy zrobili? – płynie z Wysp coraz bardziej natarczywe pytanie, na które nikt nie ma dobrej odpowiedzi. Brytyjczycy masowo pytają Google, co to jest ta Unia Europejska, której chcieli podobno dać tylko „prztyczka w nos”. Skąd my znamy owo „dawanie prztyczka” kończące się nokautem? Skąd znamy kampanie obietnic bez końca, szaleństwo dążenia ku nieznanym zmianom, byle jakaś się odbyła. Wiele podobieństw jest wręcz uderzających. Damy radę, powtarzano na Wyspach. Dziś już takie przekonanie jest zdecydowanie mniejsze. Jest niespokojnie. A będzie jeszcze bardziej.

Prezes Kaczyński powtarza, że Unii potrzebny jest nowy traktat, czyli jeszcze mniej Europy. Jego zdaniem receptą na chaos jest pogłębienie chaosu, co jakoś mieści się w jego sposobie uprawiania polityki. Obóz rządzący deklaruje, że jest za Unią Europejską, ale w pierwszej kolejności zadba o Polaków na Wyspach. Jak? Tego nie dopowiada, bo nic nie ma do powiedzenia. Po prostu nic nie wie. Internetowe szaleństwo memów odpowiada: w kampanii pani premier zapowiedziała, że sprowadzi Polaków z Wielkiej Brytanii, i oto pojawiła się okazja, by spełniła obietnicę. Oni jednak niekoniecznie chcą wracać. Wstawszy z kolan, możemy tylko żałośnie patrzeć, jak w Berlinie zebrał się natychmiast ministrowie spraw zagranicznych członków założycieli europejskich wspólnot. Nie dopuszczono nas nawet do tego drugiego, mniej ważnego stołu, gdzie pozwolono usiąść Słowacji czy Czechom. Węgrów też nie zaproszono. No cóż, sami chcieliśmy. Nasz strategiczny partner Wielka Brytania zdecydowanie zawiodła i nie ma co liczyć, że w kłopotach pomoże. Raczej zaszkodzi. Pieniądzy w unijnym budżecie będzie mniej, a przecież polska zasada, że Unii może praktycznie nie być, ale pieniądze się Polsce należą, jest głęboko zakodowana w umysłach. Na niej zbudowano wspaniałe plany. Co zrobi teraz wicepremier Morawiecki?

Jesteśmy za Unią, deklarują politycy obozu rządzącego, stojąc pod drzwiami ważnych europejskich gabinetów. I tego dnia, kiedy Brytyjczycy głoszą za Brexitem, robią taki nasz mały unijny Polexit. W Sejmie rodzi się nowa ustawa o Trybunale Konstytucyjnym w tej samej formie, o jaką Komisja Europejska ma do rządu pretensje. Ale proszę, jest i ustępstwo. Zostaną opublikowane wyroki, które zapadły po 10 grudnia, czyli wykluczono jedynie opublikowanie tego, który stwierdzał, że tzw. ustawa naprawcza jest niekonstytucyjna. Kompletny bezsens, bo te kolejne opierały się właśnie na tym z grudnia, co potwierdzali pisowscy sędziowie składający zdania odrębne. Znowo zlekceważono opinie Komisji Weneckiej, Komisji Europejskiej.

Tymczasem pan prezydent błyskawicznie podpisał ustawę antyterrorystyczną, którą niekonstytucyjność bije po oczach. Zlekceważył prośbę rzecznika praw obywatelskich o skierowanie ustawy do TK. Prezydent nie ma spraw do Trybunału, przynajmniej dopóty, dopóki nie będzie on całkowicie jednopartyjny. A może to tylko bałagan w prezydenckiej kancelarii? Okazuje się, że prawo

łaski zależy jednak od prawomocności wyroku, co wyraźnie stwierdzono w prezydenckim piśmie odmawiającym tego prawa już nie partyjnemu funkcjonariuszowi, lecz zwykłemu człowiekowi (który, ogólnie, jest dla PiS najważniejszy). Czy łaska dla Mariusza Kamińskiego i jego kolegów została udzielona z pogwałceniem prawa? Sam prezydent pośrednio to przyznaje.

Zbędność ustawy antyterrorystycznej natychmiast potwierdziło ZMSW, które rozesłało do urzędów plan zabezpieczenia szczytu NATO w łatwej do przechwycenia formie. Podobno nic nie stało, bo trasy przejazdów najważniejszych gości, rozmieszczenie sił porządkowych i ochraniających vipów nie są tajemnicą. Tylko nie wiadomo, dlaczego są dymisje w strukturach policyjnych. Minister Błaszczak ma wyjątkowego pecha: co urodzi się w jego resortcie, to niewypał. Podobnie w MON. Nowe kadry obrony narodowej nie potrafiły przeprowadzić przetargu na film reklamujący Wojsko Polskie, które rusza w kolejną misję do Iraku (czytaj s. 7 i 46). Najwyraźniej udział w kolejnych honorowych asystach i apelach smoleńskich jest, zdaniem szefostwa MON, reklamą wystarczającą.

Niestety, w tej ostatniej kwestii wyłamał się Poznań, obchodzący 60. rocznicę poznańskiego Czerwca. Prezydent Jacek Jaśkowiak ostatecznie zrezygnował z wojskowej asysty z obowiązkowym apelem smoleńskim, bo co ofiary katastrofy lotniczej mają wspólnego z buntem robotników? Szef MON nawet nie raczył odpowiedzieć na list prezydenta miasta. Warty przed pomnikiem ofiar buntu pełnić będą harcerze, co jest pomysłem znakomitym i ważną lekcją historii dla młodzieży.

W Radomiu, gdzie w tym samym czasie obchodzono rocznicę wydarzeń radomskich 1976 r., lekcji młodzieży udzielił biskup płocki Piotr Libera. „Ileż braku rozsądku lub premedytacji było w oddaniu tak wielu gazet, portali i innych mediów w ręce resortowych dzieci lub właścicieli z zagranicy” – ubolewał biskup, podkreślając misyjną rolę naszego chrześcijańskiego kraju, którego przestraszyła się lewacka polityka multi-kulti oraz pogubiona duchowo tak zwana nowoczesna demokracja Zachodu. Bravo, głównie biskupowi, bili pan prezydent, pani premier i pan minister wojny. Niedługo okaże się, że KOR zakładali premier Szydło i prezydent Duda, tylko pomysł nazwy pozostanie przy Antonim Macierewiczu. Zadba o to nowy IPN, do którego wybrano właśnie odpowiednich ludzi. Wszystkich rekomendowanych przez PiS. Być może rodzi się nowa Europa; z pewnością jednak rodzi się nowa polska historia. Jedynie słuszna.

**70 proc. serwisów internetowych administracji publicznej pozostaje niedostępnych dla osób z niepełno-
sprawnościami** – wynika z raportu Fundacji Widzialni. W 2016 r. przebadane zostały serwisy najważniejszych osób i instytucji, ministerstw, a także innych instytucji publicznych. Ocenę niedostateczną – jeśli chodzi o dostępność serwisów dla osób z niepełno-
sprawnościami – otrzymały ministerstwa: Infrastruktury i Budownictwa, Sportu i Turystyki, Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej, Energii, Edukacji Narodowej, Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Sprawiedliwości, Obrony Narodowej oraz Spraw Zagranicznych. Oceną bardzo dobrą została natomiast wyróżniona strona www resortu rolnictwa i rozwoju wsi; dobrą zaś ministerstw: Rozwoju, Spraw Wewnętrznych i Administracji, Finansów, a także Cyfryzacji. (M.Z.)

Oświatowa kontrrewolucja

Wracamy do konstrukcji: 8-letnia szkoła powszechna, a potem 4-letnie LO lub 5-letnie technikum – ogłosiła Anna Zalewska.

Anna Zalewska, minister edukacji, zachowała się wobec opinii publicznej jak wobec dzieci: fundamentalne zamiary wobec polskiej oświaty trzymała w tajemnicy niczym w kolonijnych podchodach, by ogłosić je tuż po zakończeniu roku szkolnego. Trudno nie podejrzewać w tym złej intencji: uniknąć debat po pokojach nauczycielskich, rodzicielskich niepokojów, protestów związków nauczycielskich i organizacji edukacyjnych, wyczekujących od miesięcy odpowiedzi na pytania – te praktyczne, zarazem najbardziej elektryzujące i dzielące Polaków, np. o przyszłość gimnazjów. Ale też te głębszej natury: na ile zapowiadana rewolucja dotyczyć będzie programu i podręczników? Jak w praktyce będzie wyglądać deklarowana wychowawcza, patriotyczna odnowa polskiej edukacji?

Trzeba było stu minut cierpliwości, by w jej pełnym szczegółów przemówieniu podczas zorganizowanego z rozmachem zgromadzenia w Toruniu usłyszeć wreszcie, jaki będzie nowy system szkolny. Zatem wracamy do konstrukcji z czasów PRL: 8-letnia szkoła powszechna, a potem 4-letnie LO lub 5-letnie technikum, albo też dwustopniowa (3 plus 2 lata) szkoła zawodowa, zwana teraz branżową, mocno sprzęgnięta z zakładem pracy.

Nowa podstawówka będzie się dzielić na 4-letni poziom wczesnoszkolny i 4-letni gimnazjalny (to kompromis wobec obrońców gimnazjów). Zaplanowano stopniowe wprowadzanie zmian, by kompletny system zadziałał w roku szkolnym 2022–23.

Minister Zalewska przekonywała, że rozwiązanie to jest efektem wielkich konsultacji społecznych „Uczeń. Rodzic. Nauczyciel – Dobra Zmiana”, wsluchania się w głos zwykłych Polaków. Znów trochę to infantylne: MEN co prawda organizowało od marca konferencje w wielkich miastach, ale w istocie nie konsultowano tam żadnego projektu ustawowego, choćby przybliżonej koncepcji, jak ma wyglądać ów system. Uczestnicy tych zgromadzeń poufnie opowiadają, że przypominały one swoje ściany płaczu: ludzie bez specjalnego porządku mówili, co ich boli, co by zmienili albo też – czego najchętniej nie zmieniali.

I otóż to. Jak się wydaje, ani pani minister, ani jej polityczni mocodawcy realnych konsultacji w sprawach polskiej szkoły wcale nie potrzebowali. Bazują oni na skądinąd trafnej obserwacji, że kadra jest zmęczona zmianami ostatnich 25 lat;



© WOJCIECH STROZYK/REPORTER

często chaotycznymi, porzucanymi w rytm rotacji na politycznych szczytach. Sens wielu z nich po drodze się wypaczał (przykładem są choćby gimnazja: miały wyrównywać szanse edukacyjne – podzieliły się na dobre i złe; praktyczne skrócenie nauki w LO do dwóch i pół roku; absurdalna, pętająca nauczycieli biurokracja).

Reakcja na lata zawirowań i niepewności jest paradoksalna: w ogromnej części polskiego społeczeństwa, również wśród pedagogów, ożył jakiś sentymalny, zafaszowany obraz szkoły z czasów PRL, rzekomo dobrej i skutecznej, którą reformami tylko zepsuto. Centralnie sterowanej i kontrolowanej, która jasno wiedziała, co ma robić. O minister Zalewskiej złośliwi powiadają, że marzy ona, by we wszystkich z 27 tys. szkół w Polsce w poniedziałek o 8.00 odbywała się dokładnie taka sama akademicka ku tej samej czci. Stoi za tym wizja państwa jako megainstytucji, której funkcjonariusze posłusznie reagują na bodźce z centrum.

W tym właśnie kierunku idzie ta raczej kontrrewolucja niż rewolucja oświatowa, już zresztą przeprowadzana drobniejszymi krokami. Np. poprzez nowelizację ustawy oświatowej 23 czerwca, która definitywnie podporządkowała kuratorów ministrowi (częściowo podlegali oni wojewodom) oraz zwiększa ich uprawnienia przy wyborze dyrektorów szkół. Dodajmy, kuratorów już wymienionych według politycznego klucza. A w Toruniu minister sporo mówiła też o przywróceniu solidnego kuratorskiego nadzoru nad nauczycielami („Słyszałam wręcz wołanie o ten nadzór”).

Ogłoszone 27 czerwca plany MEN to zamiar na lata: trzeba napisać nowe podstawy programowe i podręczniki. Czy stworzy to sposobność wprowadzenia do treści nauczania wspomnianej odnowy wychowawczej? Niewykluczone, choć jest dla niej mnóstwo bocznych furtek. Wystarczy, że odpowiednie organizacje formacyjne, jak je określiła minister, dostaną – by tak rzec – zieleńsze światło przy wstępie do szkoły (zapowiedziała, że zajęcia prowadzone przez podmioty społeczne będą się odbywać tylko w obecności nauczyciela).

Ci, którzy znają Jarosława Kaczyńskiego, uspokajają: nie jest tak, by pisał on teraz po nocach katolicko-narodowe programy dla polskich uczniów. Ale też ilekroć taktycznie będzie mu po drodze z Kościołem, każe spełnić jego oczekiwania. Szkoła będzie więc pewnie zmierzać ku spojeniu treści nauczania z tradycyjną wizją rodziny, z wizją historii wedle kanonu nowej polityki historycznej, z wizją obywatelskości jako posłuszeństwa państwu. Tu PiS dotrzyma swoje słowa. Jednak wbrew populistycznej retoryce, wcale nie wychodzi naprzeciw zwykłemu Polakom, zwłaszcza ze słabszych kulturowo i materialnie środowisk. Nie wydłuża edukacji, a przede wszystkim ignoruje światowe dyskusje, w których w centrum zainteresowania jest to, jak nauczyć młodych ludzi nie tylko programowania komputerowego, ale kooperacji, samodzielności myślenia, nowoczesnej, dojrzałej obywatelskości. I to jest szkoda wyrządzana nie tylko szkole. To zaszkodzi Polsce i Polakom.

EWA WILK



© EPA/PAP

Hiszpania: impas do kwadratu

Po sześciu miesiącach paraliżu politycznego Hiszpanie poszli do urn i... zagłosowali prawie tak samo jak w grudniu. Znowu wygrała prawicowa Partia Ludowa **Mariano Rajoya**, polepszając nawet swój wynik ze 122 do 137 mandatów, ale znowu nie osiągając potrzebnej do rządzenia większości. Za nimi uplasowała się lewica z PSOE, potem jeszcze radykalniejsza lewicowo koalicja Podemos i Zjednoczonej Lewicy (IU), czyli spadkobierczyni Komunistycznej Partii Hiszpanii, a na czwartej pozycji centroprawicowa Ciudadanos, dla których poparcie trochę stopniało. Znow więc będą kłopoty z utworzeniem rządu. Pierwszeństwo w budowaniu koalicji ponownie leży po stronie ludowców, ale chętni wcale nie ustawiają się w kolejce.

Jedynie porozumienie z socjalistami z PSOE dawałoby ludowcom swobodnie 176-mandatową większość w 350-osobowym Kongresie Deputowanych (izbie niższej parlamentu). Jednak dla socjalistów taki związek byłby pocałunkiem śmierci, bo Partia Ludowa dźwiga odium drakońskich cięć antykrzysowych i jest oskarżana o megakorupcję. W takiej sytuacji każdy woli wytykać błędy i siedzieć na ławce opozycji, niż wziąć na plecy część ciężaru. Wolę rozmów deklaruje Ciudadanos, ale z nimi ludowcy nie mieliby większości. Tak samo jak z koalicją radykalnej lewicy, chociaż o takim scenariuszu raczej się nie wspomina. Koalicja całej lewicy też jest brana pod uwagę, ale najpierw lewicowe ugrupowania musiałyby rozstrzygnąć, które z nich jest najlepszą lewicą. Może więc rozwiązanie Rajoya, czyli zgoda wszystkich partii na rząd mniejszościowy, pozwoliłoby Hiszpanii chociaż na pierwszy krok.

Gwiazda Rzymu

Pierwszy raz w historii burmistrzem Rzymu została kobieta. 37-letnia **Virginia Raggi** nie ma wielkiego doświadczenia, wygrała jednak z bijącymi się o stanowisko burmistrza rasowymi politykami, prawicowym burmistrzem z lat 2008–13 Gianni Alemanno i jego centrolewicowym następcą Ignazio Marino, ponieważ obaj byli umoczeni w afery korupcyjne. A Raggi jako przedstawicielka Ruchu Pięciu Gwiazd postrzegana jest jako antyestablishmentowa i niezaplątana w żadne układy polityczne.

Jej zwycięstwo to też wygrana Ruchu. Bo Włochy, obok Grecji czy Hiszpanii, są kolejnym krajem Europy, który odesłał tradycyjne podziały władzy do lamusa. Założony siedem lat temu przez komika Beppe Grillo Ruch wcześniej już współrządził w samorządach, a od trzech lat jest największą siłą opozycyjną we włoskim parlamencie. Jednak dopiero teraz dostaje tak eksponowane stanowisko i szanse, by pokazać, że jest nie tylko partią oszołomów i radykałów.

Na razie pani burmistrz na dzień dobry zapowiedziała, że nie chce, aby Rzym ubie-



© GETTY IMAGES

gał się o organizację igrzysk olimpijskich w 2024 r. Obiecuje też poprawę transportu publicznego, szerszy dostęp do sieci i większy nacisk na ochronę środowiska. A jej przeciwnicy już podkreślają, że Raggi to bardziej gwiazda niż polityk, a jej program to didaskalia w porównaniu z realnymi problemami miasta.

Sobór święty i historyczny

Na Krecie zakończył się właśnie sobór wszechprawosławny. W akademii teologicznej w Kolymbarii obradowali, pod przewodnictwem honorowego zwierzchnika całego prawosławia, patriarchy Bartłomieja, przedstawiciele 10 Kościołów prawosławnych z całego świata, w tym z Polski. Wydarzenie historyczne, bo to pierwszy taki powszechny sobór prawosławny od ponad tysiąca lat. Miał zdefiniować rolę i misję prawosławia we współczesnym świecie. Ale obrady zbankowały cztery Cerkwie: bułgarska, gruzińska, antiocheńska i rosyjska, choć brały udział w wieloletnich przygotowaniach.

Kościół rosyjski to największa Wspólnota prawosławna na świecie (ok. 100 mln wiernych), więc jego nieobecność na soborze rzucała się w oczy. Oficjalnie powodem absencji były kwestie techniczne. Cerkiew rosyjska zarzucała organizatorom, że zlekceważyli jej wniosek o przesunięcie terminu soboru na późniejszy. Co ważniejsze, Moskwa uważa, że sobór bez udziału wszystkich wspólnot prawosławnych nie powinien być nazywany soborem, tylko spotkaniem. Organizatorzy odrzucili jednak rosyjski punkt widzenia i kontynuowali obrady „świętego i wielkiego soboru”. Obrady były pozbawione pompy i rozmachu soborów rzymskokatolickich i ponoć toczyły się wartko. Gorzej było z dostępem do informacji o ich przebiegu. Grecka agencja informacyjna Romfea wycofała swych dziennikarzy z Krety w proteście przeciwko uniemożliwianiu im pracy.

Piersi w Szwecji

Uprogu wakacji szwedzki Ombudsman do zwalczania dyskryminacji orzekł, że zakaz kąpieli na basenach publicznych w stroju topless może być przejawem dyskryminacji. Wcześniej od kobiet wymagano zakrywania biustu. A obecna zmiana stanowiska to efekt zastępowania w języku szwedzkim zaimków osobowych „han” (on) i „hon” (ona) jednym wspólnym dla obu płci zaimkiem „hen”. Co zrobić zatem, jeśli osoba z obfitym biustem wskazującym wyraźnie na jej cechy płciowe twierdzi, że nie jest ani kobietą, ani mężczyzną, i określa się jako „hen” lub międzypłciowa (intergender)? Ponieważ nie jest to jeszcze uregulowane prawnie, kontrolerzy na bramkach basenów dyskryminują osoby określające się odmiennie, niż mogłoby to wynikać z ich wyglądu, zatem Ombudsman postuluje zmianę przepisów i topless dla wszystkich. Dodatkowo coraz liczniejsze w Szwecji kobiety islamskie domagają się wpuszczania ich do wody w strojach zakrywających całe ciało. Tymczasem przepisy sanitarne wymagają strojów prostych, zakrywających tylko to, co niezbędne.

Nie tak miało być

Brexit to nie tylko osobista porażka Davida Camerona, całego – nie wiadomo, jak długo – Zjednoczonego Królestwa i europejskiej Unii. To przede wszystkim klęska demokracji.

ŁUKASZ WÓJCIK

Dziś jest obiektem drwin, ale on wcale nie chciał tego referendum. Gdy je zapowiadał, w styczniu 2013 r. w londyńskiej siedzibie Bloomberg, wyglądał, jakby mu jednak ulżyło. Po miesiącach presji ze strony partyjnych kolegów premier David Cameron zgodził się na układ, który miał uratować jedność Partii Konserwatywnej. Stało się dokładnie na odwrót: referendum z 23 czerwca jeszcze bardziej pogłębiło podziały wśród konserwatystów, wśród Brytyjczyków w ogóle i może się skończyć podziałem Zjednoczonego Królestwa.

Brytyjczycy jako społeczeństwo, w odróżnieniu od posłów Partii Konserwatywnej, nie mieli wcale obsesji na punkcie Unii. W sondażu przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi w 2015 r. sprawy europejskie nie załapały się nawet do zestawienia 10 najważniejszych tematów. Co innego konserwatyści w parlamencie. Wielu z nich trafiło do polityki, aby „odzyskać kraj z rąk eurokratów”. Jako szczerzy Europejczyk Cameron szarpał się z nimi przez całą swoją karierę. W wyborach na szefa partii w 2005 r. wygrał m.in. dlatego, że obiecał wycofanie konserwatystów z prointegracyjnej Europejskiej Partii Ludowej, mimo że to w oczywisty sposób ograniczyło ich wpływ w europarlamencie. Przed wyborami w 2010 r. musiał się zgodzić na tzw. klauzulę referendalną, według której każde przeniesienie części władzy do Brukseli musi być zatwierdzone w referendum.

„Jeśli chcesz karmić krokodyla, to lepiej upewnij się, że masz wystarczająco dużo ciasteczek” – powiedział były konserwatywny minister Kenneth Clarke, komentując kolejne ustępstwa Camerona na rzecz eurosceptyków.

Niewiele one pomogły, jeśli wziąć pod uwagę katastrofę wywołaną przez ubiegłotygodniowe referendum, w którym przy wysokiej frekwencji (72 proc.) zwolennicy Brexitu wygrali w stosunku 52 do 48 i wysłali Camerona na przedwczesną emeryturę. Żaden inny brytyjski premier nie doznał takiej katastrofalnej porażki, żaden nie został tak upokorzony przez własnych wyborców. Cameron najpierw stracił kontrolę nad swoją partią, a teraz nad państwem. Ciasteczka się skończyły.

Jeszcze wieczorem w dniu głosowania nic nie zapowiadało takiego obrotu sprawy. Na podstawie pierwszych wyników przewaga opcji *remain* była tak znacząca, że nawet Nigel Farage, charyzmatyczny na swój sposób lider Partii Niepodległościowej, otwarcie szykował się na porażkę. Szala przechyliła się w okolicach godziny drugiej w nocy. Na początku minimalnie, potem przewaga stopniowo rosła o jakieś 50 tys. głosów na minutę.



► Zaskakująca była początkowa reakcja rynków. Wielu komentatorów podkreślało jeszcze w trakcie głosowania, że Brexitu nie będzie, bo widać to wyraźnie w zachowaniu bukmacherów i wielkich międzynarodowych korporacji. Oni wszyscy, padał argument, zamówili bardzo dokładne sondaże na własny użytek. Bo przecież tam, gdzie w grę wchodzi wielkie pieniądze, nie ma miejsca na spekulacje. Jeszcze w okolicach północy najwięksi bukmacherzy dawali 90 proc. szans na to, że Brexitu nie będzie.

Wy tłumaczenia takich rozbieżności z rzeczywistością mogą być co najmniej dwa. Pierwsze, naiwne, że po prostu się pomylili. Jeśli wziąć pod uwagę ostatnią dekadę w świecie globalnych finansów, nie byłoby to w końcu wielkie zaskoczenie. Druga teoria, promowana przez konserwatywny „Daily Telegraph”, jest bardziej spiskowa: jeśli założyć, że grube ryby znają realny rozkład preferencji, w ich interesie było go nie ujawniać, a nawet sugerować coś przeciwnego. Bo jaki sens miałyby podawanie do publicznej wiedzy informacji, dzięki którym wszyscy mieliby zarobić?

Niewątpliwie najwięcej stracił premier David Cameron – postawił na opcję remain cały swój polityczny kapitał.

Rankiem po głosowaniu wyszedł z żoną przed 10 Downing Street i przyznał się do porażki. „Wola Brytyjczyków musi być uszanowana” – powiedział. I dalej ogłosił swoją rezygnację: „Nie sądzę, by było właściwe, abym był kapitanem, który pokieruje naszym krajem do następnego punktu docelowego”. Zapowiedział, że nowy lider konserwatystów będzie znany w październiku po konferencji generalnej partii i to on dopiero formalnie uruchomi mechanizm wyprowadzenia kraju z Unii.

Nad losem Camerona dyskutowano we wszystkich brytyjskich mediach. Rzecz jest o tyle nietypowa, że wciąż nie wiadomo, co zrobić z instytucją referendum w brytyjskim systemie politycznym. W przypadku Camerona i konserwatystów sytuację dodatkowo komplikuje to, że zaledwie rok temu odnieśli bezsprzeczny triumf w wyborach, zdobywając 37 proc. głosów i bezwzględna większość w parlamencie. Co więcej, jak każde, również te wybory były mocno spersonalizowane, skupione wokół partyjnych liderów. Do pewnego stopnia wygrał je Cameron osobiście. Dlatego więc miałby rezygnować z powodu niewiążącego referendum?

No właśnie. Referendum jest niewiążące, co jest kolejną komplikacją. W Wielkiej Brytanii nie ma klasycznego trójpodziału władzy. Formalnie suwerenem nie jest naród, tylko parlament. Dlatego wynik referendum musi być jeszcze zatwierdzony przez Izbę Gmin. I tu jest podobny problem jak z Cameronem – zdecydowana większość jej członków, również konserwatystów, była przeciwna Brexitowi. Czy więc mając sami odmienne zdanie, zgłaszają za Brexitem?

A jeśli w tym przypadku społeczeństwo domaga się uszanowania swojej decyzji i oczekuje, że posłowie nawet wbrew swemu sumieniu zgłaszają zgodnie z ich wolą, co będzie ze Szkocją? Tam wynik referendum był 62 do 38 dla zwolenników pozostania w Unii i według tej logiki szkocki parlament powinien odrzucić Brexit. W niedzielę zaapelowała o to Nicola Sturgeon, pierwsza minister Szkocji. I jednym tchem zapowiedziała kolejne referendum w sprawie niepodległości Szkocji. Podobny dylemat będzie miał parlament Irlandii Północnej, bo mieszkańcy Ulsteru również sprzeciwili się wyjściu kraju z Unii.

Tyle teoria. Według Nicka Cohena z „Guardiana” rozwiązaniem byłyby nowe wybory do londyńskiego parlamentu, ale to oznaczałoby historyczny precedens przewagi referendum nad parlamentem i wywrócenie brytyjskiego systemu politycznego.

Nie tak miało być. Podczas kampanii przed referendum za członkostwem w Unii opowiedział się niemal cały establishment polityczny i celebrycki na Wyspach, za głosowaniem za opcją *remain* opowiadał się wielki biznes, brytyjski i zagraniczny. Rząd wychodził początkowo z założenia, że jeśli ludzie sobie wszystko przeliczą (bo nikt nie zakładał możliwości, że skrupulatni Brytyjczycy tego nie zrobią), to odsuną swoje emocjonalne obiekcje i zgłoszą za *remain*. Może nie zrobią tego z wielkim entuzjazmem, ale to dokładnie tak samo jak Cameron.

Notowania sondażowe od początku nie były jednak przekonujące i premier postanowił przypieczętować wynik referendum, negocjując z Unią w lutym tego roku „specjalne warunki dla Brytanii”. Wyspy i tak były już jedną nogą poza Unią dzięki swoim opt-outom, więc inne państwa członkowskie nie mogły się zgodzić na jakieś spektakularne ustępstwa. Cameron wrócił więc do Londynu, chwając się kilkoma zmianami bez znaczenia. Skończyło się na publicznej kompromitacji, choć Cameron nadal jest innego zdania.

Gdyby wygrała opcja *remain*, za punkt przełomowy kampanii zapewne uznano by zabójstwo młodej posłanki laburzystów Jo Cox na tydzień przed głosowaniem. I tak zresztą urosło ono do rangi symbolu, bo polityk twardo opowiadający się za pozostaniem w Unii zamordował nie do końca począłny nacjonalista z hasłem „Britain first” na ustach. Z dzisiejszej perspektywy za punkt przełomowy trzeba jednak uznać wybór Borisa Johnsona na szefa obozu *leave*. Wcześniej obóz ten skazany był na przywództwo takich swojskich osobliwości jak Farage. A tu na czele pojawia się najpopularniejszy polityk na Wyspach, były mer Londynu.

Według Matthew d’Ancony’ego, wpływowego komentatora wielu brytyjskich i amerykańskich mediów, najważniejszą zaślugą Johnsona była promocja własnej niewiedzy jako cnoty, a jego największą ofiarą – eksperci. To określenie w trakcie kampanii stało się wręcz przekleństwem. Bez znaczenia było, że „eksperci twierdzą” coś innego niż Johnson. „Oni są od gospodarki, ja jestem od demokracji” – mówił. Jego bliiski współpracownik twierdzi, że „ten kraj ma już dość ekspertów”. Strzałem w dziesiątkę okazał się jednak temat imigracji, na który postawił Johnson. Na kilka miesięcy przed referendum Cameronowi zdarzyło się obiecać, że ograniczy roczną imigrację na Wyspy do 100 tys. Kilkanaście dni przed głosowaniem ukazał się raport, według którego w 2015 r. do Wielkiej Brytanii przyjechało 330 tys. imigrantów, połowa z innych krajów Unii. To, według d’Ancony’ego, był najważniejszy moment całej kampanii.

Większość ekspertów do końca była jednak przekonana, że o wyniku referendum zadecydują wyborcy niezdecydowani. A ci z zasady optują za utrzymaniem status quo, tak jak to było w referendach w Szkocji w 2014 r. i wcześniej w Quebecu w 1995 r. Co jednak kluczowe, w obu tych przypadkach miejscowe wysokonakładowe tabloidy opowiedziały się właśnie za status quo. Ale tym razem na Wyspach było inaczej.

Jednym z powodów, dla których sondażownie się pomyliły, do końca dając przewagę zwolennikom pozostania w Unii, był fakt, że od 20 do 30 proc. wyborców podjęło decyzję, jak głosować, dopiero na tydzień przed, w tym połowa z nich dosłownie w ostatnim dniu, pisze badacz zachowań wyborczych z Uniwersytetu Oksfordzkiego Aaron Reeves. To były w większości „ofiary tabloidów”. Największe tytuły na brytyjskim rynku, „The Sun” i „Daily Mail”, jasno stanęły po stronie zmiany, czyli za Brexitem. Zdaniem Reevesa i współpracowników samo poparcie „The Sun” Rupertha Murdocha potrafi przysporzyć pół miliona głosów. A przewaga przeciwników Unii wyniosła niecałe 1,3 mln głosów.